

8. miejsce

Karol Gmyrek

Godło: Lestek

Pasterka i kominiarczyk

W soboty było inaczej. Na sobotę warto było czekać. Z całej siódemki ona jedna przynosiła wytchnienie.

Nie, nie było tu nic, na co mógłby narzekać. Personel starał się, dogadzał, gdy mógł, i pochylał nad słabościami. Ale po obu stronach rozlewało się zmęczenie, oblepiało ściany, chowało po szafkach, nie było przed nim ucieczki.

Już w piątek wieczorem czekał. Pomogli mu się ogolić, umyć, podali na noc metamizol i tak zasnął. Wybudził go pędzący korytarzem wózek zabiegowy. Kauczukowe kółka bezszelestnie sunęły po linoleum, ale cała ta metalowa i szklana drobnica postukiwała, podzwaniała, tłukła się od ucha do ucha aż musiał się wybudzić. Był już poranek, więc wyszło mu na dobre. Będzie teraz nasłuchiwał czy przyszła i czy idzie do niego. Ale zanim tu dotrze, musi odwiedzić innych.

Wolontariuszki nie są przypisane jednemu pacjentowi, należą się wszystkim po równo.

Zazdrościł tym innym. W jego skrzydle było czternastu podopiecznych w sześciu pokojach. Kilka koncentratorów tlenu, pomp infuzyjnych i cała masa stojaków z kroplówkami, termometrów, a wszystko trzeba sprawdzić, obejrzeć - poświęcić czas. Dobrze, że chociaż tu w pokoju jest sam. Usłyszał w korytarzu rozmowę. Wnet wychwycił ten głos, najbardziej sprężysty ze wszystkich. A więc już jest. Przyszła i spędzi z nimi dzień. Zbliżała się powoli, metr po metrze, a gdy drzwi wreszcie się uchyliły, to siedział już prosto. Wiele go to kosztowało.

- Dzień dobry panie Henryku, tęsknił pan? - powiedziała i podeszła rozsunać ciężkie zasłony, by wpuścić nieco światła. Do głowy by jej nie przyszło, że to ona robi tu za słońce.

- Tęskniłem - odparł.

Zbliżyła się i podniosła oparcie łóżka.

- Można się oprzeć teraz. Co pan porabiał beze mnie?

- A usychałem sobie, bo co tutaj można?

- To zaraz coś wymyślimy - powiedziała i uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem jak wiosenne rozlewisko. - Co się panu marzy? Dzisiaj można wszystko. Zajrzę do innych, a pan się zastanowi.

I wyszła, a on został z zagadką. Bo niby co może się marzyć? Zdrowie, a jakże. Z tym, że o to prosił już tyle razy, ale głuchy na prośby świat, głuche niebo i szkoda strzepić języka.

Czy jest w ogóle coś takiego? Skoro ona prosi, to on musi to wymyślić. Drugiej okazji może nie dostać.

Filmów się tutaj naoglądał, muzyki nasłuchał - ponadrabiał, co w życiu uciekło. Podjeść też by niczego nie podjadł, bo apetytu nie miał od dawna. Nagle przypomniał sobie dziwną rzecz. I odległą, tak odległą, że już nie pamiętał kiedy mu się przytrafiła: patrzeć w lustro i ujrzeć tam siebie. Rozpoznać, że jest się sobą, a zarazem kimś obcym.

Gdy był młodszy, często go to spotykało. W takim krótkim, ostro spiętym oddechu stawał w całości przed samym sobą. Przyglądał się w osłupieniu istocie, którą przyszło mu być. Zaraz też zlewał się z nią, bez złudzeń, że jest jakaś ucieczka. A może by tak zmierzyć się z tym raz jeszcze? Spojrzeć na te obce, znajome bruzdy? Z trudem wyciągnął się i sięgnął po guzik. Skoro ona prosi, to on chętnie złoży na jej barkach tę zachciankę.

- Co tam? Wymyślone? - pojawiła się w progu, ze zmiętym prześcieradłem w dłoniach.

- Przyszła mi do głowy jedna głupota - zaczął nieśmiało.

- Głupota dobra rzecz, byleby na twardej skale ją postawić. Za chwilę podejdę.

I zniknęła, ale zaraz wróciła. Po takiej prawdziwej chwili, co trwa tyle, co chwila trwać powinna.

- Słucham.

- W lustrze bym się chciał zobaczyć - powiedział. - Ale prawdziwym, ściennym, nie takim jak to - i wskazał ruchem głowy na małe lusterko, co stało na szafce nocnej.

Wsparta ręce na biodrach.

- Na korytarzu takie jest - przypomniała sobie.

- Tak - ucieszył się. - Właśnie w tym bym się chciał zobaczyć. Stanąć przed nim i patrzeć na siebie.

- Stanąć?

- Dobrze by było.

- To może kompromis. Na wózku usiadziemy i dopiero wtedy, co?

Zapomniał, że już nie chodzi. Jego ciało rozpadało się od wewnątrz, trwało to już jakiś czas. Ale przecież na wózku też siebie zobaczy. Kiwnął głową.

Znowu zniknęła. Wróciła z wózkiem, podjechała, opuściła łóżko i zaczęły się zmagania. Najpierw nogi, żeby lekko zwisnęły za krawędź materaca, potem, po trochu, przesunął resztę ciała. Wreszcie usiadł, aż zakręciło mu się w głowie, odczekał chwilę, wsparł się na jej ramieniu, dźwignęła go i już był na wózku. Co to za dziwne uczucie? Jechać, a siedzieć. Już prawie zapomniał.

W jasnym korytarzu wisało lustro. Proste, bez zdobień, w sosnowej oprawie. Wystarczająco duże, by objąć go w całości.

- Mogę chwilę sam? - poprosił.

- Pewnie - odparła i oddaliła się.

Pozostał sam ze sobą i patrzył, długo się patrzył. Wyzywał na pojedynek tego, który tam siedział. Ale ten drugi nie stanął do walki, odrętwiały, bolący. Nie wiadomo... uciekł, czy inne nieszczęście go spotkało?

- Już - zawołał zniechęcony, a ona podeszła i stanęła obok. - Nie poszło tak jak chciałem.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Proszę zobaczyć, jak pięknie nam razem - odparła mimo to.

- Jaka z nas para. Pasterka i kominiarczyk.

- A kto jest pasterką? - zapytał.

Roześmiała się, a uwolniona radość poniosła się korytarzem, po pokojach, aż do recepcji w zachodnim skrzydle.

- Panie Henryku... wszyscy przed panem ostrzegają.

Śmiała się jeszcze długo. Odwiozła go do łóżka, wróciła do innych pacjentów, a on rozmyślał. O niej, o sobie i tym drugim sobie, którego pewnie już nie zobaczy.

Zaglądała do niego przez cały dzień, a on, jak zawsze, nie żałował miłych słów. Dopiero pod wieczór, gdy stanęła w progu gotowa do drogi, coś się w nim rozsypało. Jakieś z dawna skrywane przerażenie. Wcale nie chciał się żegnać.

- A może by taknockę wziąć, co? - zapytał drżącym głosem.

Chciał być zabawny, ale nie potrafił dłużej kryć strachu.

Zbliżyła się do łóżka, chwyciła go za dłoń.

- Ja tu cały czas jestem. Daleka, ale obecna.

I wyszła, a on długo rozglądał się po ciemniejących wokół ścianach.

Sen w hospicjum jest inny niż wszystkie. I jego intensywność jest inna. Musiał być już środek nocy, gdy przyszły te obrazy. Szybkie, kolorowe, jakby oglądał od końca film o własnym życiu. Diagnoza, której się nie spodziewał, narodziny wnuka, wypadek, ślub - a wszystko sprasowane w krótkich błyskach, oddzielne, ale jednocześnie.

Zanim zdołał cokolwiek z tego uchwycić, stał już przy brzozowym zagajniku. W oddali machała do niego kobieta. Mamusia? A skąd ona tu? Nieważne. Co tu może być ważne, jak te ciepłe dłonie garną się do człowieka. Ruszył ku niej przez rozświetloną łąkę. Od zarośli poniosła się wilgoć, miejscami słodka, miodna od wiązówki, sycąca płuca ciężkim zapachem. Wpadł między opłotki, minął studnię porośniętą bladym mchem i już był przy niej. Bezpieczny, ciepły, opowiedziany w całości sobie i innym.